

665

Romans z życia sfer...

Wstrząsający do bólu romans z życia sfer — tak określili w podtytuł swój „Sabath życia” imię Paweł Staśko, dziś niemal doścześnie zapomniany, a ongiś nader poczytny producent trzeciorzędnej literatury romansowej.

I oto za sceniczną, adaptację owego „czytadła” wziął się po latach ROBERT NIX (przyjemność rozszyfrowania pseudonimu pozostawiam młodym historykom teatru), najwyraźniej szukając pretekstu do literackiej i teatralnej zabawy. Niczego nie tuszował, przedewszystkiem: zadbał, aby wszystkie bezdusztwa i stylistyczne napuszoności oryginału przedostały się do dialogów, bądź do tekstu wygłaszanego przez Narratora. Spektakl już w samym założeniu miał być podszyty kpinką i tego samego pragnęła z pewnością HALINA SZRAM-KIJOWSKA, kierownik literacki TEATRU ZIEMI ŁÓDZKIEJ, która rzecz wyreżyserowała — jak na debiut nad podziw zresztą pomysłowo i sprawnie.

MARIA HORBACZEWSKA dała przyjemną (choć wymagającą zbyt długich zmian) oprawę scenograficzną, LESZEK ORLEWICZ napisał zgrabną muzykę, wiele wysiłku włożyli również w spektakl aktorzy. Szczególnie MARIA NIEDZIEWIECKA (Kwiecia), ZBIGNIEW BIELSKI (Zygmunt) i KAZIMIERZ JAWORSKI (Narrator) prowadzili swoje role z humorem i zabawną przesadą. Reszta zespołu była już nieco bardziej serio, ale i ona utrzymywała się z małymi wyjątkami w zakresionych przez reżysera ramach.

Mimo gęspólnych starań i bezspornej kultury realizacji, rzecz — muszę to wrzeszczeć do siebie wykrztusić — niestety „nie wyszła”, gdyż wyjść po prostu nie mogła.

Błąd tkwi głęboko, bo w samej materii dzieła. Na melodramat serio jest zbyt rozwlekłe i zawile, nie miałbym chyba siły, aby streszczać tę pogmatwaną historię miłości biednego agronoma do panielki z ziemiańskiego rodu.

Melodramatu — choć widzowie mogą się uprzeć i na taki właśnie odbiór — nikt wprawdzie nie chciał, z kolei materiału do drwinek starczyło na pół aktu, akt może. Śmieszności języka — i tu chyba tkwi podstawowa pomyłka — osłuchują się nad wyraz szybko, mniej bawią ze sceny, niż bawiłyby w czytaniu. Podobnie nie sposób wymyślać wciąż nowych chwycików i gagów, zaś choćby najlepszy chwyt powielany wielokrotnie wędnie po prostu w oczach.

W rezultacie czułem się trochę jak w samolocie: chwila milego szybowniania na wysokim pułapie świetnej, ironicznej stylizacji, a potem przykre zapadnięcie się w puszkę i nudę. Znowu wysoki lot i znowu pustka.

Zarazem teatr wiedział, czego chciał, a sam zamysł „obśmiania” kiczowatej literatury nie jest pozbawiony sensu. Reżyser również zdał egzamin i nikt w gruncie rzeczy nie powrócił z tej wyprawy na tarczy. Nawet policki kpłny dosięgnął celu, jedynie jego siła burząca okazała się wyraźnie zbyt mała. A gdy tylko śmiech zamiera na sąsi, spod ruin swojego dzieła wyłazi straszliwy Staśko i gędzi, och, jak okrutnie gędzi!..

i baśń czarnoksięska

Wkrótce po bajędzie Pawła Staśko, w tymże Teatrze Ziemi Łódzkiej oglądaliśmy „Kruka” — czarnoksięską baśń Carlo Gozziego, włoskiego komediopisarza tworzącego w drugiej połowie XVIII wieku.

„Kruk” to tak zwana „flabe”, baśń z tezą, pełna teatralnych dziwów, a zarazem groteskowa i absurdalna, wyrosła z komedii dell'arte i wykorzystująca jej charakterystyczne postacie. Tartaglia, Truffaldino, Brighella, Pantalone powtarzają się w poszczególnych utworach, choć mogą w nich spełniać rozmaite funkcje. Tu Tartaglia jest ministrem, przynosi więc nieszcześnie mu księciu okrutny wyrok śmierci, zarazem wciąż jest Tartaglia, zrozumiałe więc, że musi błaznować.

Czytelnik daruje jednak, że nie będę bliżej zagłębiał się w poetykę komedii dell'arte, o której napisano sporo książek i rozpraw. Powiem raczej po prostu, że spektakl wydaje się być przyjemny i udany, choć każdemu, kto widział Morettiego i sławny Teatro Piccolo di Milano, ariekinady w wykonaniu polskich aktorów zdać się mogą jedynie wątlwym cieniem cienia... Stosunkowo najsprawniej radzili w nich sobie MARIAN HARASIMOWICZ (Truffaldino) i HENRYK DUDZIŃSKI (Tartaglia); w odmiennym stylu dobrą rolę dał również JERZY STASZEWSKI, choć Pantalone w tej sztuce potraktowany jest raczej serio.

Ze świata bardziej bezpośrednio uwi-

klanego w baśń i teatralne cuda, wyróżniłbym przede wszystkim DAGMAR FONIÓK za bardzo prosto i wdzięcznie przeprowadzoną rolę księżniczki Armilli. Króla Milona i jego szlachetnego brata Gennara z powodzeniem grali WŁODZIMIERZ TYMPALSKI i BOGDAN JUSZCZYK.

Reżyseria ANIELA BORYSLAWSKA — zgrabnie, z chwałępną dbałością o tempo. Czuło się również w przedstawieniu doświadczoną rękę BARBARY FIJEWSKIEJ (plastyka ruchu), choć finał rodem z musicalu zdał mi się nie dopracowany, a przy okazji niezbyt interesujący muzycznie.

Prawdliwym bohaterem był jednak scenograf HENRI POULAIN, który dał piękne, baśnlowe kostiumy i w zadziwiający sposób pogłębił ciasną scenę TZZ, wyczarowując w niej wciąż nowe plany. Nawet cuda — mimo braku wszelkiej maszyneryi — wypadły wciąż ciekawie.

Słowem spektakl do oglądania, mający i ten wdzięk, że dorośli śmiało mogą zabierać ze sobą dzieci, które również znajdują okazję do dobrej zabawy.

JERZY PANASEWICZ